Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 43.
dnia 25. Września 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Za godzinę jechał wieczornym pociągiem. Na ostatnej stacji najął dwukonną budkę żydowską i nią przed samą północą przyjechał do Woli Ludaczowskiej. Furmanowi kazał zatrzymać się przed bramą, i dać koniom jeść, sam zaś wszedłszy do ogrodu, stanął naprzeciw okna Rózi, w którem było jeszcze światło. W pierwszej chwili chciał do niego zapukać, pomyślawszy jednak, że mogła by się przestraszyć, podszedł do drugiego okna i tam zapukał. W tym pokoju spała Marysia. Dziewczyna zbudzona, przyskoczyła do okna, a że na dworze było jasno, łatwo więc garbusa poznała. Była pewna, że Stern także przyjechał i teraz chce, by mu wchodowe drzwi otworzyła. Niedługo trwało, a garbus zobaczył się na progu.

— Słuchaj Marysiu... idź do panienki, i powiedz jej, że koniecznie muszę się z nią zaraz widzieć.

— Co się też panu roi, panie sekretarzu?

— Mnie się nic nie roi... Powtarzam ci, że ją muszę widzieć, bo tu idzie o życie człowieka, o życie pana Ryszarda, więc może i o jej życie...

— Wielki Boże! — Marysia zawołała — o życie pana Ryszarda?!

Chociaż Rózia przed nią się nie zwierzała, dla Marysi jej miłość nie była tajemnicą.

— Idź więc Marysiu, idź! — garbus napierał.

Dziewczyna poszła; w kwadrans zjawiła się Rózia już ubrana.

— Panie Henryku, co się stało?! — krzyknęła za rękę go chwytając.

Jednym tchem wszystko jej opowiedział i tak zakończył:

— Ty pani wiesz najlepiej, że to, co mu zarzucają, jest oszczerstwem... siadaj więc zaraz i jedź, a pojutrze rano zgłoś się do sądu. Mam nadzieję że pani to uczynisz.

— Boże! pan mnie pytasz czy to uczynię? Ach! jabym dla niego poszła na rusztowanie, na śmierć! I jażbym go mogła opuścić, ja, w chwili tak ważnej?! Ale — dodała — czy ojciec mnie nie spotka?

— Mam nadzieję, że kiedy nie przyjechał tym samym co ja pociągiem, więc nie prędko się tu zjawi... Dzień jutrzejszy możesz pani spędzić u pierwszej lepszej znajomej, nie mówiąc po coś właściwie przyjechała, w mieście zatem nikt cię widzieć nie będzie.

— Dobrze, dobrze... na szczęście pieniędzy tylem sobie złożyła, że mi na drogę wystarczą, potem Bóg będzie się mną opiekował. Ale ja go nie opuszczę, nie!

Wróciła do pokoju i w pół godziny wyszła z małem zawiniątkiem, które naprędce spakowała. Marysia szła obok niej, fartuszkiem łzy sobie ocierając.

— Panienko — szepnęła — ja się tu nie zostanę.

— Jedź więc ze mną!

Marysia ledwie to usłyszała, do budki wskoczyła. Garbus pomógł wsiąść Róży. Biedna dziewica tak była odurzona własną zuchwałością i myślą o niebezpieczeństwe, w jakiem ten się znaj-

dował, dla którego od tak dawna jej serce biło, że całkiem zapomniała o swoim przyjacielu i towarzyszu, o *Neptunie*. Za to on o niej nie zapomniał. Jakby przeczuwając, na co się zanosi, już od godziny opuścił swoje legowisko, które tej nocy miał na słomie pod oranżerją, i usiadłszy pod bramą, wpatrywał się w budkę tajemniczą, którą posądzał o jakieś zamiary ukryte. Gdy jego pani wyszła, wcale się naprzód nie wysuwał, dopiero gdy garbus na pożegnanie kilkakrotnie w rękę ją pocałował, i żyd zaczął batogiem nad końskiemi głowami wymachiwać, śmiałym susem znalazł się w budce, czem żyda tak przestraszył, że ten o mało nie spadł na ziemię.

Budka jednak szczęśliwie w drogę ruszyła. Wszystko tak cicho się odbyło, że nie tylko pani Sara Stern, która miała sen wyśmienity, lecz nawet stangret Jan, który spał przy koniach, nic a nic nie słyszał.

Jadąc Rózia ułożyła sobie plan działania, który za przybyciem do miasta wykonała. Bojąc się, by matka, jej ucieczkę postrzegłszy, nie szukała jej u krewnych, udała się do właścicielki tego samego pensjonatu, w którym lat kilka spędziła i tę prosiła o chwilowy przytułek. Znalazła go natychmiast i pani Krzaczkowska tak była delikatną, że widząc ją ze służącą, nie pytała nawet o powód tak nagłego przyjazdu.

W poniedziałek o 9 rano, sala rozpraw sądowych była przepełniona rozciekawioną publicznością. Kto mógł tam się cisnął, miasto bowiem wiedziało, że dziś będą ważyły się losy Żylewicza, którego straszne pióro znane było w kraju, od lat blisko trzydziestu.

Ryszard idąc do sali głównej, przez izbę świadków, napróżno wzrokiem szukał mieszkańca Ekonomówki, którego się tu spodziewał. Garbusa także nie było. Uśmiechnął się boleśnie, pomyślawszy, że Henryk bądź go tylko łudził, bądź też przyrzeczenia nie mógł dotrzymać.

Ledwie jednak prezydent dzwonkiem salę uciszył, w izbie świadków dało się słyszeć głośne psa warczenie, poczem wszedł woźny dość zmięszany i rzekł:

— Proszę wysokiego Sądu, przyszła jakaś dama, która chce świadczyć.

— Dama? — Ryszard powtórzył bledniejąc.

— Wprowadź ją! — odrzekł przewodniczący.

— A kiedy nie mogę proszę pana prezydenta, bo z nią jest taki wielki pies, jakby nieprzymierzając cielę i żadną miarą nie chce się ustąpić.

— Więc puść go razem z jego panią.

Posłuszny rozkazowi, woźny wprowadził damę w czarnej sukni i z takąż woalką na twarzy. Za nią krokiem mierzonym szedł duży pies czarny. Gdy przed trybunałem stanęła, siły ją opuściły, i zsuwając się na krzesło, które tu stało, szepnęła, by jej wody podano. Woda się znalazła... Wtedy woalkę podniosła... W sali dał się słyszeć szmer podziwienia. Równej piękności z obecnych nikt nie widział. Ryszard wpatrywał się w nią okiem osłupiałem, cisnąc gwałtownie ręką serce, by mu nie pękło. Ona nie spojrzała na niego...

— Co panią tu sprowadza? — przewodniczący po niejakim czasie zapytał, widząc że się uspokoiła.

— Ponieważ tylko ja jedna znam dokładnie sprawę, która tu się toczy, przeto rada bym złożyć świadectwo.

Trybunał przychylił się do jej życzenia, poczem zaczęło się przesłuchanie. Gdy na zapytanie, jaką religję wyznaje, odpowiedziała, że jest żydówką, tu i owdzie między słuchaczami dał się słyszeć okrzyk zdziwienia, publiczność bowiem wiedząc, że Ryszard Gozdawa nie należy do przyjaciół narodu żydowskiego, bardzo była ciekawa, czy zeznania tej pięknej izraelitki będą dlań korzystne, czy też zabójcze.

Róża w miarę jak mówiła, zaczęła się ożywiać i odwagę odzyskiwać, a gdy poczęła opowiadać nieszczęście, które Krystynę spotkało, jej głos dźwięczał już w sali jak dzwonek srebrny. To co powiedziała, zgadzało się dosłownie z tem, co w sobotę trybunał z ust Gozdawy usłyszał.

Ton jej głosu był tak przekonywujący, jej opowiadanie taką tchnęło prawdą, że gdy skończyła, a przewodniczący zapytał Żylewicza i jego obrońcę, ażali ma świadka zaprzysiądz, ci tego nie żądali, co znaczyło, że bynajmniej nie powątpiewali o prawdziwości jej zeznań. Róża wyszła do izby świadków, na Ryszarda ani spojrzawszy.

Postać rzeczy od razu teraz się zmieniła. Czystość Gozdawy tak była udowodniona, że kto wie, czy nawet sam pan Grzegorz miał by był odwagę kruszyć na dal kopję w obronie niewinności Żylewicza. Zrozumiał to pierwszy Żylewicz i dla tego poprosiwszy przewodniczącego o przerwę

kikominutową, zaczął coś pilnie radzić ze swoim obrońcą.

Gdy trybunał napowrót się zebrał, obrońca wystąpił i w te słowa przemówił:

— Mój klient przekonawszy się, że był źle poinformowany co do charakteru pana Gozdawy, chętnie wszystko co w gazecie o nim złego napisał, dziś jeszcze odwoła, jeźli pan Gozdawa odstąpi od oskarżenia.

Ryszard spojrzał na Żylewicza, który udawał jakoby był bardzo skruszony, na audytorjum, na trybunał i sędziów przysięgłych, którzy go błagali zaspanemi oczyma, by ich uwolnił, poczem wspaniałomyślnie cofnął oskarżenie. Gdzie nie ma skargi, nie ma obżałowanego, sąd zatem przyjął cofnięcie do wiadomości i sprawę uznał za skończoną.

Publiczność usłyszawszy to, wychodziła z sali Gozdawie złorzecząc. Bo czyż godziło się zrobić jej taki zawód! Ona chciała ofiar, a tu zwycięzca postąpił sobie tak po chrześcijańsku! Co też Rzymianie byli by powiedzieli, gdyby musieli wyjść z cyrku, nie zobaczywszy ani jednego gladjatora konającego? Co by powiedzieli Hiszpanie, gdyby podczas walki byków nie widzieli krwi na arenie? Ludzie wszędzie ludźmi!

Zaledwie wszystko się skończyło, Ryszard najwyższym niepokojem przejęty, pobiegł do izby świadków. Spodziewał się tam kogoś zastać i zastał. Pod oknem, mając chustką oczy zasłonięte, siedziała Rózia. Przed nią stał *Neptun* i głowę trzymał na jej kolanach.

— Pani! dzięki ci! — szepnął. — Tyś ocaliła mój honor, a więc moje życie!

Chciał ją wziąć za rękę, ona ją jednak cofnęła.

— Nie dotykaj się pan tej ręki... wszak to ręka przeklęta!

— Pani! nie mów tak! — zawołał — bo mnie zabijesz! Czyż sądzisz, że nie wierzę w wyjątki? Czyż nie wiem, że najwyższy ideał ludzkości, sam Bóg-Człowiek przyszedł także na świat w pokoleniu Judy? O! ja wierzę w wyjątki, wierzę i dla tego ciebie wielbię!

Spojrzała na niego okiem, w którem całe niebo się przebijało i rękę mu podając rzekła:

— Jeźliś mi życzliwy panie Ryszardzie, zaprowadź mnie do jakiego księdza katolickiego.

Chciał ją o coś spytać, ona jednak myśli jego odgadując, dodała:

— Nie pytaj mnie pan, lecz uczyń o co proszę!

Podał jej ramię w milczeniu.

Wyszli.

ROZDZIAŁ XIII.

OPOWIADANIE NIEZNAJOMEGO.

Garbus Różę wyprawiwszy, udał się do swego mieszkania, gdzie prędko swoje rzeczy spakował. Po dokonaniu tej czynności, rzucił się na łóżko nierozebrany i twardym snem zasnął. Po wrażeniach i trudach dnia tego, potrzebował spoczynku. Chorobliwy jego organizm prędko się poddawał. Mimo to spał najdłużej dwie godziny i lubo dopiero za godzinę miało zacząć świtać, zerwał się na równe nogi, przeżegnał, i drzwi na klucz zamknąwszy, ruszył ku miastu.

Sam zmianie się zdziwił, jaka w nim nastąpiła. Temu, którego dotąd nienawidził, chciał dopomódz, choćby z narażeniem swojego życia; tę, dla której namiętność od tak dawna go pożerała, i dla której zapierał się godności człowieka, nawet się podlił. oddawał dobrowolnie, nawet z ochotą, w ręce rywalowi; nie wątpił bowiem, że Ryszard po rozprawie w sądzie zejdzie się z Różą; nareszcie ten dom, z którym nigdy nie chciał się rozstawać, porzucał teraz z radością, jakby mu ciężki kamień spadł z serca. Słaba jego dusza, potrzebująca koniecznie uczuć gwałtownych, które by nad nią panowały, znalazła teraz aż dwa takie. Pierwszem było gorące pragnienie naprawienia tego, czem przeciw Ryszardowi zawinił; drugiem chęć zemszczenia się na Sternie. O! jakąż radość sprawiała mu nadzieja, że może ten człowiek, który go deptał, runie ze swej wysokości, po czem on nad nim pastwić się będzie! Że na Sternie coś ciężyło, o tem nie wątpił. Wnioskował to nie tylko z tego, że w łaźni przestraszył się gołosłownych jego pogróżek, lecz co nie równie bardziej przeciw niemu świadczyło, to okoliczność, że do domu nie wrócił. Musiał więc coś wielkiego zbroić, a klucz od tajemnicy znajdował się w rękach nieznajomego. Do niego też biegł garbus.

Na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać, gdy stanął pod jego mieszkaniem; zbliżył się do okna i silnie zapukał.

— Kto tam? — zawołał wewnątrz głos męzki.

— Swój!... Z dobremi wiadomościami.

— A! pan Dobrzyński!...

Po chwili garbus wszedł do pokoju.

— Z czem Bóg prowadzi? — gospodarz zapytał.

— Z tem, czegoś pan tak dawno pragnął... Stern ma od kuli znak na ramieniu.

— Ma?... widziałeś pan?

— Własnemi oczyma... wczoraj w łaźni.

— O! Boże! jakże ci dziękuję! — zawołał nieznajomy ręce i oczy do góry podnosząc, a potem dodał: — Biedna dziewczyna!...

— O jakiej mówisz pan dziewczynie?

— Zaraz się dowiesz.

Ciekawość garbusa wzrastała. Tymczasem nieznajomy prędko się ubrawszy, usiadł przy nim, i tak zaczął opowiadać:

— „Nazywam się Ludwik Ściernicki i pochodzę z Wilna, gdzie moi rodzice mieszkali. W szesnastym roku życia wstąpiłem do wojska. W lat kilka dosłużyłem się stopnia porucznika. Rodzice moi w tym czasie umarli, zostawiając mi kilka tysięcy rubli, które jednak w wesołem towarzystwie prędko się rozeszły. Majątku nie miałem odtąd żadnego, ale pozostawał mi wuj, rodzony brat mojej matki, człowiek zamożny, kutwa i trochę dziwak, zwyczajnie jak stary kawaler, który zawsze powtarzał, że wszystko co ma, to dla mnie. Kiedy dla mnie — powiedziałem sobie — więc można już teraz żyć na jego rachunek, a że wujaszek w każdym liście mi powtarzał, że za jego życia nic nie dostanę, tylko po śmierci, więc zacząłem robić długi, aby go przynajmniej w ten sposób zmusić do naruszenia kasy. Wujaszek zapłacił raz i drugi, wszakże gdym go trzeci raz prosił o pieniądze, odpowiedział, że uczyni to jedynie pod tym warunkiem, jeżeli z wojska wystąpię i do niego przyjadę, by mu w gospodarstwie pomagać. Żal mi było munduru, a jeszcze bardziej wesołych kolegów, lecz cóż było począć? Ponieważ wysłużywszy moje lata, każdej chwili mogłem dobrowolnie z pułku wystąpić, więc uczyniłem to ku wielkiej radości moich wierzycieli, których wuj zaraz zaspokoił.

Wioska mego wuja była mała, lecz wzorowo zagospodarowana, a ponieważ wuj był niezmiernie oszczędny, więc rok rocznie odkładał sumkę pokaźną, z której rósł kapitał. Pieniądze trzymał w kasie niewielkiej, żelazem okutej, która pod jego łóżkiem była do podłogi przyśrubowana.

Zamieszkawszy na wsi, aby przypodobać się wujowi, chciałem wziąć się do gospodarstwa, lecz mi to jakoś nie szło. Nierównie chętniej niż w stajni lub stodole, spędzałem czas w naszem miasteczku, zkąd do Wilna było pięć mil drogi, a gdzie konnica stała. Tam z oficerami zabawiałem się nieraz do ciemnej nocy i dopiero, gdym sobie dobrze podchmielił, do domu wracałem. Wuj gderał, gniewał się, groził, ale w końcu zawsze przebaczał, jak mówił przez pamięć dla mej matki, którą nad życie kochał. Muszę tu jeszcze dodać, że prócz mnie, wuj z rodziny nie miał więcej nikogo, nie ulegało przeto wątpliwości, że majątek po nim ja jeden odziedziczę. Jak się później okazało, służyłem jeszcze w wojsku, a poczciwy wujaszek złożył już był w Sądzie testament, w którym mnie zrobił spadkobiercą całego swego mienia.

Między dziwactwami mego wuja było to największe, że ani mnie, ani nikomu ze służby tyle nie ufał, co kilkunastoletniemu swemu faktorowi Josiowi Grob, który był u niego pachciarzem. Josia zawsze się radził, gdy miał coś sprzedać lub kupić, z nim jeździł na jarmarki, jego posyłał do Wilna, ilekroć potrzebował wymienić papiery wartościowe, z nim zamykał się w sypialni i pieniądze liczył, słowem przypuszczał go do wszelkich tajemnic. Nie lubiłem tego żydka przebiegłego, mimo że mi się nisko kłaniał, ale nie zdradzałem przed wujem mojej niechęci, by go nie podraźnić, a sobie tem nie zaszkodzić.

Josio Grob wyjechał raz do Galicji, gdzie mu faktor żydowski, trudniący się kojarzeniem małżeństw, narzeczoną wyszukał. Po upływie dwóch tygodni wrócił do nas i jak dawniej służył memu wujowi. W pierwszym roku, pożycie między małżonkami było dobre; później jednak wszystko się zmieniło i Josio nie raz głośno powtarzał, że musi się rozwieść, ponieważ żona jego niema dzieci. Wuj perswadował mu jak umiał, ale Josio nie dał sobie tego z głowy wybić.

W połowie drugiego roku Josio wyjechał nagle do Ameryki, gdzie miał umrzeć jakiś jego krewny bogaty. U nas została się jednak jego żona, która dalej zajmowała się krów wydojem. Miesiące mijały, a Josio nic o sobie nie donosił. W tym czasie żona córkę mu powiła, o czem natychmiast doniósł mężowi jej brat rodzony, który właśnie wtedy przyjechał był z Galicji ją odwidzić. Domek, w którym Josio mieszkał, stał za stajniami na uboczu, tuż przy szosie, a że i folwark sam

był daleko ode wsi położony, więc do pachciarza rzadko kto kiedy zaglądnął.

We dwa tygodnie po przyjściu na swiat córki, Sara Grob z dzieckiem i jej brat wyjechali do Wilna, nie pożegnawszy nawet mojego wuja. Staruszka bardzo to rozgniewało, ale ponieważ nic mu winni nie zostali, więc powoli zaczynał o nich zapominać, i tylko czasem jeszcze powtarzał:

— Szkoda mego Josia! Już ja drugiego takiego faktora w życiu mojem nie znajdę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZULEIKA.

NOWELA przez K. H.

I.

Noc wiosenna nad Bosforem!... Ile to blasku, ile woni, ile wspomnień dziejowych, ile czarownych obrazów, wywołują te słowa w naszej wyobraźni. Jak *fata morgana* powstają na ich dźwięk przed oczyma duszy, modra spokojna toń odwiecznej cieśniny, rozkoszne wybrzeża małej Azji, okryte gajami palm i mirtów, w nich pałace bogatych muzułmanów i białe kamienie rozległych tureckich cmentarzy. Po drugiej stronie występują w tajemniczem nocnem oświetleniu, smukłe minarety i kopuły Afi Sofii, niby morze z głazów, nieprzebrany labirynt domów starego Carogrodu a nad niemi półksiężyce i maszty stojących w porcie okrętów.

W powietrzu woń i cisza, tylko gromady na pół zdziczałych psów, które przesąd muzułmanów rodzajem religijnej czci otacza, odzywają się po ulicach, a światełko błyszczące tu i owdzie, w małem, kratami zaopatrzonem okienku seraju, świadczy, że to rzeczywistość i życie, a nie obraz wytworzony pędzlem znakomitego mistrza.

Takiej to nocy roku 1852, około godziny dziesiątej, wyszedł młody Europejczyk z drzwi niewielkiego domku, położonego przy jednej z ulic wiodących nad morze. Był to młodzieniec liczący lat, co najwięcej dwadzieścia dwa, wzrostu słusznego. Ubrany był w ciemny, długi płaszcz, którego draperje zdradzały piękną, chociaż delikatną budowę i kapelusz o szerokich krysach, nasunięty nisko na czoło. Wyszedłszy zatrzymał się chwilkę na progu, spoglądając ku przeciwległej stronie ulicy, gdzie nad murem, otaczającym ogród i położony w nim meczet, błyszczało światło z kilku okien, obszernego tureckiego domu. W tej chwili można było przypatrzyć się jego twarzy. Była to twarz szczupła i blada, o pięknie uformowanym nieco orlim nosie. Nad ustami zasiał się ciemny, miękki jak jedwab wąsik i takie same faliste długie włosy spływały z pod kapelusza. Główną ozdobą tej twarzy było duże, ciemne oko; to oko mieściło w sobie coś tak interesującego, tyle jakiegoś miękkiego a przecież pełnego zapału blasku, tyle uczucia i marzenia, że spojrzawszy raz w nie, niepodobnem było się od niego oderwać. Przez jakiś czas spoglądał młodzieniec w kierunku przeciwległego domu, potem zamknął drzwi za sobą, schowawszy klucz do kieszeni, owinął się w zwoje płaszcza, nasunął kapelusz jeszcze bardziej na czoło i szybkim krokiem podążył w kierunku morza. Doszedłszy do brzegu, oglądnął się w koło, a przekonawszy się, że go nikt nie widzi, zwrócił się na prawo, gdzie w oddaleniu zaledwie kilkudziesięciu kroków, była uwiązana mała, lekka łódka. Nie namyślając się wiele wskoczył do łódki, a odbiwszy od brzegu, pospieszył szybkiemi choć cichemi uderzeniami wiosła wprost na morze. Będąc już w dosyć znacznem oddaleniu od brzegu, aby być pewnym, że go z tamtąd nikt nie ujrzy, spojrzał rozmarzonem okiem na około siebie, na otaczający go czarowny krajobraz, aż wreszcie to oko spoczęło w dali, na światełku błyszczącem z pewnego okna nad powierzchnią Bosforu. Było to okno w tej lewej stronie tego samego budynku, sięgającego aż nad morze, a położonego naprzeciw pomieszkania naszego bohatera, któremu on, wyszedłszy z domu, tak skwapliwie się przypatrywał i było umieszczone w ścianie wieży lub baszty czworograniastej, stanowiącej część tego gmachu, zbudowanego z całą malowniczą nieregularnością dawnych budowli muzułmańskich. — Ta baszta, stojąca na skale, wznoszącej się zaledwie o kilka stóp nad wodą, musiała ostać się wielu wiekom i przetrwać niejedną burzę, bo jej mury z niepobielanych cegieł, mięszanych z kamieniem, okazywały mnóstwo szczelin i wyłomów, a bryły kamienia gdzieniegdzie wystawały na kilka cali, jak gdyby chciały wyzwolić się ze swego więzienia i skąpać we falach Bosforu. Przezorność nadto ostatnich właścicieli zaopatrzyła strupieszałą ścianę w silne podpory z ciosowego kamienia, które opierając się na skale, sięgały aż pod jedyne okno, umieszczone z tej strony, w wysokości około trzech sążni.

Oko młodzieńca spoczęło z wyrazem dziwnej tęsknoty i marzenia na tem oświetlonem okienku podczas, gdy ręka trzymająca wiosło tak pokierowała małą łódką, że ta przecinając w szerokiem kole zwierciadło Bosforu, zwróciła się wreszcie ku starej baszcie. — W miarę jak się do niej zbliżała, wytężał młody wioślarz całą swoją uwagę, aby nie wywołać choćby najsłabszego szmeru. — Ostrożnie, unikając wszelkiego pluskania, zanurzał on swoje wiosło, aż wreszcie znalazł się zaledwie o kilkanaście kroków od podnóża ściany. Wtedy powstał, spojrzał w górę do okienka, a przybiwszy do brzegu, uwiązał łódź do bryły kamienia, leżącej nad brzegiem, zdjął z siebie płaszcz i kapelusz i bez najmniejszego szelestu wyskoczył na skałę, tylko tak szeroką, że stanąć na niej zdołał. — Zaledwie chwilkę zatrzymał się w tem miejscu, aby odetchnąć i począł lekko, zgrabnie i cicho, wspinać się po prostopadłej

prawie ścianie. Nie po raz pierwszy musiał on iść tą drogą, bo z całą pewnością umiał znaleźć od razu każdą szczelinę, każdy wystający kamień, który mógł dostarczyć dostatecznego miejsca do oparcia ręki lub nogi i chwytając się zręcznie żelaznych klamer, umieszczonych w murze, dotarł wreszcie do swego celu i usiadł na szczycie podpory kamiennej, pod samem okienkiem. Tutaj założył prawe ramię za kratę, w celu ochronienia się od upadku i sparł na niej ostrożnie głowę, aby zajrzeć do wnętrza, którego obraz sprawiał wrażenie, jakoby kartka z tysiąca i jednej nocy przybrała ciało i kształty i okazała się w rzeczywistości. — Obszerna, muzułmańska komnata, oświetlona kilką wiszących lamp, obita staremi perskiemi dywanami; naokoło, wzdłuż ścian, miękkie poduszki z puchu i kobierców, podłoga również dywanem zaścielona. — Na poduszkach spoczywało kilka młodych kobiet, które czując się bezpiecznemi od każdego niepowołanego oka, w swych lekkich, powabnych strojach, nie szczędziły wcale swoich wdzięków. W głębi stara niewolnica, siedząc z założonemi nogami, grała na gitarze smętne, a zarazem dzikie arabskie melodje; u drzwi wiodących do dalszych pokoi, leżał na podłodze uzbrojony, olbrzymi murzyn eunuch, niby Cerber strzegący wrot tego raju, a na środku, tańczyła przy dźwiękach gitary młoda, cudna odaliska. Oko młodego awanturnika nie ciekawe całości tego obrazu, spoczęło wyłącznie na jednym tylko przedmiocie, na uroczej postaci pięknej tancerki.

Była to istotnie jedna z tych postaci, jakie sobie tylko w snach wymarzyć można. Smukła i wiotka jak młoda brzoza z jej rodzinnych gór, zdawała się ta nadobna córa Kaukazu ledwie dotykać kobierca drobniuchnemi nóżkami. Lekkie i bogate jej szaty, odsłaniały pierś, szyję i ramiona, godne dłuta Fidiasza. Główka cudnych kształtów, kołysana lekko w takcie muzyki, okazywała pod zwojami kruczych, aż w błękit wpadających włosów, rysy mogące służyć za ideał wschodniej piękności; usta miękkie i pełne, jak koral rumiane, a nad wszystko jaśniały, jak dwie lampki z raju Mahometa, duże, czarne jak węgiel jej oczy, oczy łzawe, pełne tęsknoty, pełne ognia i duszy. — Światło lamp spływało po tych kształtach, oblewało złotem haftowane szaty, perły i korale w jej włosach i przedstawiało w czarodziejskiem oświetleniu żółtawy wschodni inkarnat jej ciała, niby marmur oblany światłem jutrzenki.

Z niezrównaną swobodą i lekkością poruszała się jej postać pełna wdzięków, odpowiednio do muzyki, to w powolnych, pełnych powabu obrotach, to zwowu dziko i szybko w namiętnym zapale. Jej kształty i ruchy zdawały się lgnąć do każdego tonu gitary, z taką zadziwiającą dokładnością i gracją umiała się zastosować do tych pełnych poezji dźwięków pustyni.

Tylko oko jej zdradzić mogło, że ponętna czarodziejka nie jest duszą i ciałem przejęta swemi pląsami, bo ilekroć w obrotach tańca w tę stronę się zwróciła, rzucała przeciągłe, stęsknione wejrzenia w kierunku małego okienka nad morzem.

W tem muzyka gitary poczęła w coraz to dzikszych, gwałtowniejszych dźwięczyć akordach, a tancerka po kilku cudnych zwrotach, zawijając w powietrzu nad głową powiewny szalik z białej gazy, uniosła się od podłogi i lekko, jakby jakaś nimfa oazy, stanęła tuż pod oknem, zatrzymując się tam chwilkę, odpowiednio do taktu melodji... „Zuleiko“ szepnął z poza kraty drżący głos młodzieńca, a na twarzy odaliski zaświtał jak zorza błogi, czarujący uśmiech i pełny promień z jej oka błysnął pomiędzy kraty i utkwił głęboko, głęboko w duszy kochanka. Po chwili odwróciła się od okna, znowu zrobiła kilka powolnych zwrotów, aż nareszcie korzystając z przyspieszonego taktu gitary, ręką wzniesioną nad głowę, wyjęła z ciężkich splotów i zwojów hebanowych włosów jeden kwiat granatu i nachylając ciało naprzód, rzuciła go zgrabnie na okno. Ostrożnie, choć drżącą ze wzruszenia ręką, sięgnął młody awanturnik po ten podarek miłości, a w tej chwili dotarło do jego ucha, cicho, jakby westchnienie zaniesione zdala powiewem zefiru słówko: „Achille.“

Dlaczego dźwięk jego imienia, które w życiu swojem słyszał tak często, z ust Zuleiki sprawił na nim takie dziwne, upajające wrażenie?

Szczęśliwy jak bożek, z promieniejącą twarzą, zapominając o wszystkiem, o niebezpiecznem stanowisku, z którego najmniejsza nieostrożność mogłaby go strącić do Bosforu, o wszystkich troskach i cierpieniach, czuł on się tam u szczytu szczęścia i rozkoszy. Młody Achille znajdował się w tem usposobieniu umysłu, w którem jeden przedmiot opanowuje całą duszę, całą wyobraźnię, w którem cały świat uczuć i myśli pod wpływem jakiegoś czarownego wrażenia, tak wyłącznie w jednym kierunku się skupia, że zresztą niema dla nas świata, niema niczego dokoła, a dusza nasza spogląda, jakby z nieskończonego „nic“ indyjskiej niżwany, na jeden wyłącznie dla niej istniejący obraz.

Jeszcze przez chwil kilka tańczyła Zuleika, spoglądając ciągle w kierunku okna, aż wreszcie muzyka poczęła przechodzić w coraz to cichsze, słabsze odcienia i w końcu po kilku ostatnich, gwałtownych, jeszcze dzikszych, jak pierwej akordach umilkła, a piękna odaliska znużona, rzuciła się na poduszki. — Skronie jej pałały, łono podnosiło się gwałtownym oddechem, a na pięknej twarzyczce wywołało znużenie najpiękniejsze róże Szirasu, podczas gdy błyszczące oczy, w podwojonym ogniu, spoglądały w tę stronę, w której wiedziały, że spotkają się z innem, drogiem i gorącem wejrzeniem.

Po chwili odezwała się ponownie gitara. Inna z kobiet poczęła tańczyć przy jej dźwięku, wreszcie stara niewolnica śpiewała jakieś dziwne arabskie pieśni. W końcu czarny eunuch powstał z podłogi, a kobiety gwarząc i śmiejąc się, opuściły swoje siedzenia, aby udać się na spoczynek. — Zuleika także powstała i korzystając z chwili ogólnego zamięszania, zbliżyła się

do okna i nachylając się z cudnym uśmiechem, uścisła rączką założone za kratę ramię Achillea. Potem wmięszała się w tłum kobiet i oglądając się raz jeszcze, wraz z niemi wyszła z komnaty, pod strażą zbrojnego Cerbera.

Została tylko młoda, czarna niewolnica, która przygasiła lampy i nucąc jakąś murzyńską piosnkę, również wyszła i zamknęła drzwi za sobą.

Dopiero gdy ostatnia lampa zgasła i ostatni ton tej piosnki w dali zaginął, ocknął się Achille jakby z oczarowania i podnosząc głowę od kraty, westchnął głęboko i spojrzał w około siebie. Pod nim Bosfor błyszczał w przecudnych barwach, właściwych morzom południowym, jakby lazur zasiany mnóstwem szmaragdów, rubinów i djamentów. Na przeciw niego majaczyły w mglistej dali ciemne kontury czarownych ogrodów skutaryjskich i wyglądające z nich biało pałace. Tyle woni upajającej w powietrzu! A nad tem wszystkiem jak sklepienie z ciemnego szafiru, południowe, nocne niebo, w całym swoim nieopisanym blasku. Ale on tego wszystkiego nie widział, jego światło na dzisiaj już zgasło. Po raz tysiączny przycisnął do ust kwiat granatu, a schowawszy go starannie, zaglądnął raz jeszcze do ciemnego okna i począł spuszczać się na dół. — Z równą zręcznością i znajomością jak poprzednio, umiał on i teraz znaleźć swoją niebezpieczną drogę. Bez żadnego szmeru zlazł po ścianie baszty, wsiadł do łódki, ubrał się w płaszcz i kapelusz, a wkrótce ta odbita od brzegu, szybko i cicho jak łódź Charona, przerzynała toń Bosforu i kreśląc jak pierwej szerokie koło, przybiła do brzegu w miejscu, w którem zwykle była uwiązaną

Wylądowawszy pospieszył Achille szybkim krokiem napowrót tą znaną nam ulicą i rzucając jeszcze jedno spojrzenie ku oknom przeciwległego domu, otworzył cicho drzwi i wszedł do swojego mieszkania.

II.

Dom, do którego powrócił Achille ze swojej tajemniczej wyprawy, był zbudowany z cegieł, w zwykłym stylu mniejszych domów tureckich, na jedno piętro, o płaskim dachu i nie różnił się w niczem od innych sąsiednich budowli, chyba że większa schludność, okna bez krat i wyglądające z poza nich czyste, białe firanki wskazywały, że był zamieszkanym przez Europejczyków. Pierwsze piętro, składające się z czterech pokoi, zajmował wysłużony kapitan francuzkiego statku wojennego p. Delarive, który nie mając już dosyć sił do służby, jako czystej krwi marynarz nie mógł pozostać przez dłuższy czas spokojnie w ojczyźnie, lecz przybył do Stambułu w towarzystwie swego osierociałego bratanka, którego kochał nad życie i który będąc młodym, rokującym świetne nadzieje malarzem, osiedlił się tam przez jakiś czas, aby z natury czerpać typy i wzory do wschodnich motywów, w których miał wielkie upodobanie. — Na dole mieszkał ziomek ich p. Berthier były oficer gwardji Ludwika Filipa, który opuścił ojczyznę podczas ostatnich przewrotów politycznych i uzyskawszy posadę nauczyciela w tureckiej szkole wojennej osiadł w Konstantynopolu i był nieodstępnym przyjacielem i towarzyszem starego marynarza i jego bratanka.

W chwili gdy Achille w którym czytelnik z łatwością odgadnie młodego artystę, wykradał się ze swego mieszkania, siedzieli Delarive i Berthier w wygodnych fotelach na płaskim dachu swego domu, między nimi stał mały stolik, na nim flaszka wina i dwa kieliszki. Stojąca na stoliku lampa okazywała w pełnem oświetleniu twarze obydwu przyjaciół. — P. Delarive był starcem mogącym liczyć lat około 75, lecz jeszcze zdrowym i czerstwym, o ciemnej, mocno różowej cerze, białych jak śnieg włosach i takich bokobrodach. Jego postać teraz wygodnie rozciągnięta świadczyła, że w tem starem ciele dziś jeszcze pozostały resztki dawnej atletycznej siły, podczas gdy w oku błyszczała nie zaćmiona jeszcze iskra niczem niezachwianej energji i odwagi, a cała twarz jego zdradzała tego junackiego ducha, właściwego wojownikom pierwszego cesarstwa.

Berthier mężczyzna lat około 50ciu, był typem francuzkiego oficera w rysach, ruchach a nawet w ubiorze i sposobie noszenia zarostu. Lecz w oku i całej twarzy jego można było wyczytać, oprócz energji i odwagi, daleko więcej spokoju i zimnego zastanowienia, niż zwykliśmy spostrzegać u przeważnej części jego ziomków.

— Mówiłem ci już — przerwał milczenie stary marynarz — jak mnie martwi dziwne zachowanie się Achill'a w ostatnich czasach. Jakieś licho wlazło w chłopca, że nie je i nie spi, ciągle wzdycha i marnieje, wygląda przez okno, a nocną porą wykrada się gdzieś z domu. Jak mi mówił stary mój Jan urządza sobie nadto jakieś nocne przejażdżki po Bosforze. Przytem nic nie maluje: ostatni jego obraz nieskończony, a farby pozasychały na palecie. Tylko czasem kreśli ukradkiem jakąś figurę na płótnie, a gdy wejdę znienacka do jego pokoju starannie ją przedemną ukrywa. A co najgorsze, że żadną perswazją i pytaniami niepodobna było dotąd, wydobyć od niego przyczyny tych szaleństw.

— Wiem o tem kapitanie — odparł Berthier — mówiłeś wczoraj, że bądź co bądź, dowiesz się tej przyczyny.

— I dowiedziałem się — zawołał Delarive uderzając pięścią w stół i puszczając ogromny kłąb dymu ze swojej krótkiej fajeczki — sam wyspiewał mi wszystko gdy go dobrze przyparłem do muru. Wiem przyczynę, a teraz trzeba złemu zaradzić i do tego właśnie chciałem prosić cię o poparcie i pomoc.

— Wiesz kapitanie że jak daleko moje siły sięgają jestem na wasze usługi, ale cóż to jest takiego i co zamierzacie uczynić.

— Co jest! — zawołał kapitan uderzając Berthiera po ramieniu — oto krótko i węzłowato, nic więcej tylko tyle, że młody nicpotem zakochał się jak sza-

leniec, w pięknej Czerkiesce, zostającej w haremie starego Ibrahima, zarządcy meczetu, naprzeciw naszego mieszkania, którą ujrzał przypadkiem ze swego okna niezakwefioną w ogrodzie jej właściciela i przysiągł mi, że umrze, jeźli nie posiędzie swojej bogini.

— Ba — rzekł na to Berthier z niezachwianym spokojem — mam wszelkie powody do przypuszczania, że Achille zaniecha tę pierwszą alternatywę, a co do tej drugiej, będzie musiał ją sobie wybić z głowy, bo wątpię, żeby stary Ibrahim posunął uprzejmość do tego stopnia, iżby mu odstąpił gwiazdę swego haremu.

— Chłopiec powiedział, że umrze i umrze. Ty niewiesz jeszcze jaka to krew płynie w żyłach Delarive'ów. Na to jest tylko jeden środek: oto musimy dostać dziewczynę, a zatem wykradniemy ją i basta!

— Ależ kapitanie!...

— Tu niema ale — przerwał Delarive, promieniejąc z zapału perswazją swego przyjaciela — nie takie rzeczy to się dawniej wyprawiało. Stary Delarive powiedział że wykradnie dziewczynę i wykradnie ją, żeby trzykroć miljonów diabłów stało przy niej na straży."

— Rozważ że kapitanie że mury i bramy haremu są mocne, nas tylko trzech, a gdybyśmy nawet zdołali dotrzeć do wnętrza, to czujności dobrze uzbrojonych eunuchów, których Ibrahim ma zapewne kilku, ani przekupstwem ani namową zachwiać nie zdołamy.

— A któż mówi, żebyśmy mieli zapuszczać się w układy z eunuchami! — przerwał kapitan. — Zamierzam zebrać mieszkających w Stambule kilkunastu naszych ziomków, między którymi jest wielu przyjaciół Achille'a, nocną porą rozbić drzwi haremu, w razie potrzeby porąbać Ibrahima i jego eunuchów, porwać dziewczynę i wraz z nią drapnąć, stojącym w pogotowiu umyślnie w tym celu najętym okrętem, wprost do Francji! — Do wykonania tego właśnie planu, proszę o twoją pomoc. A cóż ty na to przyjacielu?

— Ja mówię — odparł spokojnie Berthier — że ten cały plan od A do Z niema sensu, ani najmniejszych widoków powodzenia.

— A to chciałbym wiedzieć przyczynę, do miliona siarczystych piorunów! — zawołał z uniesieniem stary lew morski.

— Przyczyna bardzo prosta — ciągnął dalej Berthier. — Po pierwsze, żaden rozsądny człowiek nie zgodzi się na to, aby wziąć udział w tak szalonem przedsięwzięciu. Po wtóre, przypuściwszy nawet, że znalazła by się szajka młodzików dość szalonych i za ich pomocą wtargnęlibyśmy do haremu i wykradli dziewczynę, to za żadną cenę nie znajdziemy okrętu, któryby naraził swoją flagę na następstwa takiego uczynku; schwycą nas i poskrócają głowy. Nadto wywołamy ogólne rozjątrzenie fanatycznych Muzułmanów przeciw Europejczykom i możliwą rzeź, której następstw nikt nie zdoła przewidzieć. Z tych to powodów nie godzę się na wasz plan i mojej pomocy do pewnego skręcenia karku użyczyć wam nie myślę.

— A! na to wszystko nie myślałem — rzekł zbity z konceptu Dolarive. — Ale cóż robić? Wykraść ją musimy. Radź, pomagaj, drogi Berthier, bo jakem Delarive, jeźli to tak dalej pójdzie, to mi chłopca djabli wezmą.

— Wprawdzie tę całą myśl uważam za nierozsądną i sądzę, że najlepiej by było odjechać ci wraz Achillem, aby sobie wybił z głowy swoją Czerkieskę, jeźli jednak koniecznie chcesz popierać jego szaleństwa, to nieodmówię wam mojej rady i pomocy. Siłą jednak tutaj nic zrobić nie można, tylko rozwaga i podstęp doprowadzą do celu. Bądźcie cierpliwymi i oddajcie mnie tę sprawę. Ja wszystko rozpatrzę, a potem według możności, ułożę plan odpowiedni i wykonalny.

— Niech że i tak będzie. — Ty to najlepiej przeprowadzisz, bo ja to w tych podstępach nigdy tęgi nie byłem. Ale spiesz się drogi Berthier, bo mnie idzie o chłopca i wierzaj, że stary Delarive będzie ci wdzięcznym do zgonu.

— Uczynię co będę mógł — przerwał Berthier ściskając serdecznie podaną sobie rękę kapitana.

Jeszcze przez jakiś czas siedzieli obydwaj przyjaciele, Berthier rozmyślając nad swojem zadaniem, a Delarive, śledząc niecierpliwie każdy wyraz jego twarzy. Kiedy lampa poczęła się dopalać, flaszka wina dno pokazywać, fajki pogasły, a późna pora wzywała do spoczynku, obydwaj przyjaciele życząc sobie serdecznie dobrej nocy, rozeszli się do swoich pomieszkań.

Rozważny i spokojny Berthier, przyrzekłszy raz swoją pomoc do urzeczywistnienia romantycznych zamysłów kapitana i jego bratanka, przejął się szczerze swojem zadaniem i wziął się od razu do dzieła. Zaraz nazajutrz zaprosił młodego artystę do swego pomieszkania, a przedstawiwszy mu zamiary jego stryja i oznajmiwszy mu, że przyrzekł pokierować tą sprawą, wydobył od niego za pomocą swojej niezachwianej zimnej krwi i spokoju całą tajemnicę, której niecierpliwy i porywczy kapitan dowiedzieć się nie umiał. Wyznał mu Achille, że przypadkiem ujrzał raz z okna Zuleikę niezakwefioną w ogrodzie Ibrahima i tak silnego doznał dla jej wdzięków wrażenia, że bądź co bądź, postanowił się do niej zbliżyć. Przez długi czas tęsknił młody malarz daremnie i zrozpaczony, poczynał już powątpiewać o urzeczywistnieniu tego zamiaru, aż nareszcie po tysiącznych daremnych zabiegach, udało mu się wyśledzić, że do haremu Ibrahima chodzi bardzo często stara, uboga Greczynka, która trudniąc się leczeniem, wróżeniem przyszłości, a zarazem czesaniem włosów, miała wolny wstęp do kobiet haremu. Na tę Greczynkę zwrócił on swoją uwagę i z łatwością udało mu się, za pomocą kilku lujdorów, pozyskać w niej pośredniczkę. Ale i pomoc Greczynki nie doprowadziła go do tego wymarzonego szczytu szczęścia, żeby mógł ze swoim dobrze strzeżonym ideałem rozmawiać, lecz za jej pomocą udało mu się przynajmniej zwrócić na się uwagę pięknej Zuleiki. Odtąd przyglądali się sobie we dnie z dala z okna do okna, a w nocy udawał się

Achille na swoje karkołomne miejsce spotkania, przy starej baszcie. Ten stan trwał już przeszło od miesiąca a stara Greczynka donosiła kochankom wzajemne przysięgi wiecznej miłości. — Opowiadanie swoje zakończył Achille pełnem zapału zapewnieniem, że życia bez posiadania Zuleiki nie pojmuje i że ma stanowczy i niezachwiany zamiar zakończyć w falach Bosforu, pod oknem tej starej baszty, gdyby wszelka nadzieja okazała się płonną.

Dziękował ze łzami w oku Berthierowi za jego pomoc i zapewniał, że całem życiem pełnem wdzięczności nie potrafiłby spłacić długu, który teraz u niego zaciąga.

Z początku Berthier zużywał cały swój arsenał zimnej perswazji, aby Achille'a odwieść od tego szalonego przedsięwzięcia. Przedstawiał mu brak wszelkich warunków stałości dla kobiety, która z natury rzeczy, pod względem umysłowym o tyle niżej od niego stać musiała, brak widoków na przyszłość, możliwe złe skutki, które w razie nie udania się a nawet w razie pomyślnego wyniku jego przedsięwzięcia, powstać by mogły. Widząc jednak, że to wszystko nie zdoła zachwiać młodego szaleńca, który przysiągł, że w razie gdyby mu nikt nie dopomógł, sam wtargnie do haremu Ibrahima i da się porąbać przez jego eunuchów, Berthier oświadczył, że nie zamierza cofnąć danego przyrzeczenia pomocy i polecił mu, aby wieczorem gdy się już ściemni, sprowadził do niego starą Greczynkę.

Już późno było z wieczora, gdy ktoś zapukał do drzwi Berthiera; byłto Achille, a za nim jego powiernica. Berthier podniósł wzrok od książki, którą był właśnie zajęty i przypatrzył się teraz dziwnej a oraz wstrętnej postaci, która stała przed nim w pełnem oświetleniu lampy. Była to postać starej, około 70 letniej kobiety, zgarbiona we dwoje, jak zwykle malują czarownice w illustrowanych bajkach dla dzieci. Twarz, poryta tysiącem zmarszczków, o wystającej brodzie, krogulczym nosie i przenikliwych jak sztylety, małych, głęboko położonych oczach, wyrażała oprócz prawdziwie lisiej chytrości, tę odrażającą, a na wschodzie tak często spotykaną cechę niewolniczego uniżenia, która na pierwszy rzut oka napełnia odrazą i pogardą. — Ubraną była w swoim stroju narodowym, lecz tak brudnym i poszarpanym, że pierwotnych barw i form z trudnością tylko można było się dopatrzyć.

Berthier powiódł zimnem, badawczem okiem po tej postaci i od razu umiał znaleść wątek za pomocą którego, najłatwiej było zainteresować jego gościa dla sprawy.

— Czy chcesz zarobić dwadzieścia luidorów? — zapytał ją z największym spokojem.

Greczynka spojrzała na niego, oko jej zaiskrzyło chciwością a kłaniając się do ziemi, rzekła z lisim uśmiechem:

— Twoja niewolnica gotowa uczynić wszystko, co rozkażesz panie.

Widząc, że nie pomylił się co do sposobu pozyskania sprzymierzeńca w osobie starej wróżki, przystąpił Berthier wprost do rzeczy.

— Ty bywasz często w haremie Ibrahima po drugiej stronie ulicy i znasz zapewne Zuleikę, młodą Czerkieskę, która się tam znajduje — zagadnął ją ze zwykłym niezachwianym spokojem.

— Tak jest panie — odpowiedziała Greczynka ze znaczącem spojrzeniem na Achille'a — bywam tam dosyć często i znam piękną Zuleikę, którą sobie ten młody pan tak upodobał.

— Postanowiliśmy wykraść tę dziewczynę z haremu — rzekł Berthier — i chcemy, abyś ty, znając dokładnie urządzenie i sposób życia w tym domu, nam do tego dopomogła i podała sposoby. Tego dnia, którego to uskutecznimy, otrzymasz 20 luidorów, o których ci wspominałem.

Na te słowa znikł uśmiech z ohydnej twarzy wróżki, stara Greczynka zamyśliła się. Widocznie spodziewała się, że uda jej się za mniejszą cenę uzyskać tę ponętną nagrodę.

Przez chwilę zdawało się że zrzecze się udziału w tak niebezpiecznem przedsięwzięciu, lecz wkrótce zwyciężyła chciwość. Widać było po niej, że zaczęła się zastanawiać nad sposobem któryby mógł wyprowadzić Zuleikę z haremu, a jej przynieść obiecane luidory. Przez dłuższy czas stała tak zamyślona ze spuszczoną głową, a przenikliwe jej oczy skierowane wciąż na jeden punkt, błyszczały jak oczy dzikiego zwierza czychającego, na zdobycz.

— Mój pan wymaga trudnych, bardzo trudnych rzeczy — rzekła nareszcie. — Kobietom haremu nie wolno pod żadnym warunkiem wychodzić z domu. Mury są mocne, drzwi żelazne, okna z kratami, a nadto ma Ibrahim czterech eunuchów, silnych i dobrze uzbrojonych, którzy wierniej niż psy strzegą haremu."

— Więc niema żadnego sposobu, aby wykraść tę kobietę? — zapytał Berthier, bawiąc się garstką lujdorów w swojej kieszeni i poruszając niemi tak, że ponętny dźwięk złota musiał dotrzeć do uszu starej wróżki.

Ten szatański dźwięk kruszcu zelektryzował natychmiast zwątpioną Greczynkę, twarz jej rozpromieniła się a spoglądając spragnionem okiem w tę stronę, z której ją ta ponętna muzyka dochodziła, rzekła po chwili:

– Natychmiast nieda się nic uskutecznić, bo eunuchów przekupić niepodobna, a siłą również panowie nic nie wskórają. Ale ja będę teraz częściej jak dawniej bywać w haremie Ibrahima, uważać na wszystko i może uda mi się znaleźć sposobność, ale do tego trzeba czasu i cierpliwości.

Berthier kazał sobie jeszcze dokładnie opisać całe wewnętrzne urządzenie haremu. Rozkład pokoi i porządek jaki był tam zaprowadzony. Dowiadywał się o którym czasie kobiety wychodziły do ogrodu i udawały się na spoczynek. Przekonawszy się wreszcie, że istotnie na razie nie było żadnego sposobu urzeczywistnienia ich planu i tylko wyczekiwanie stosownej

sposobności mogło rokować jakieś nadzieje, zalecił jej ciągłą czujność i kazał zawiadomić się natychmiast, gdyby nadeszła chwila działania.

Greczynka poprzysięgła, że uczyni wszystko co tylko będzie w jej mocy, aby wyszukać sposobność. Nie mało spotęgowała ta okoliczność jej zapał dla sprawy, że Berthier obiecał w razie pomyślnego wyniku dołożyć jej jeszcze pięć lujdorów. To też zapewniając po tysiąc razy o swojej niczem niezachwianej wierności i zupełnem uniżeniu, odeszła przyrzekłszy Achille'owi, że mu będzie jak najczęściej udzielać od Zuleiki wiadomości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAPYTANIE.

Najnowsza Sielanka Ebersa.

(Ciąg dalszy).

Od lat dziecięcych, Phaon do tych należał, którzy działają, nie rozprawiając. Jak każdy marzyciel, lubił ścieżki samotne, a idąc, najczęściej piękne ciemne oczy w ziemię miał utkwione.

Niepytany z rzadka się odzywał.

Nigdy się nie pochwalił, że tego lub owego dokaże, lub że udało mu się już coś wielkiego uczynić.

Milczącym był przy pracy, milczący najczęściej nawet w gronie wesoło się zabawiającem.

Rozważnie i zwolna brał się do czynu każdego, lecz co rozpoczął, to z pewnością dokończyć potrafił.

Chętnie widziano go na turniejach, a nawet w kole tańczących, towarzysze cenili w nim niezwykłą siłę, zręczność i nieustraszoność, obok łagodnej powagi, którą umiał pokonywać bez kłótni i uniesienia chełpliwych i swarliwych a niedowarzonych śmiałków; dziewczęta zaś chętnie wzrok topiły w ciemnych źrenicach pięknego marzyciela, który i wśród tańca najszaleńszego, umiał panować nad sobą i zawsze w takt, z gracją i godnością obracał się po tamburynie i piszczałkach orkiestrę tworzących.

Nie jedna co prawda czuła się obrażoną, gdy ją całkiem pominął, i wygadywała na jego język leniwy, nawet Xantha czuła się nieraz żywo dotkniętą, gdy usta jego nie chciały się otworzyć, aby słowami potwierdzić to, co jego oczy tak jej wymownie opowiadały. Te mówić umiały! Gdy spoczęły na niej owe oczy, tak głębokie, a tak płomienne, jak strumień lawy rozpalonej, który chociaż cicho płynie, nie zna jednak przeszkód na swojej drodze, gdy jej źrenice spotkały się z tą wzroku jego błyskawicą, wierzyła, iż nie milczy z ubóstwa umysłowego, lub z braku serca, ale właśnie ze zbytku uczuć i myśli, tak potężnych, iż żadne ludzkie usta, w słowa by tychże oblec nie potrafiły.

Mimo tego wszystkiego, dąsała się dziś Xantha na swojego towarzysza, a dąsy dziewczęce mają dwoje oczów, jedno zupełnie nic nie widzi, a drugie patrzy z większą bystrością niżeli wzrok sokoła.

Tego co dotąd wysoko ceniła w Phaonie, młoda dziewczyna widzieć nie chciała, ale braki i strony ujemne skrzętnie sobie przypominała, dopatrując je i rozbierając na atomy nieledwie.

Zapewne, okazywał jej i bez słów wiele przywiązania, ale czemuż milczy jak ryba? dla czegoż nie żąda od niej żadnej nagrody, jakby to zrobił każdy inny? bo obojętność i lenistwo wrodzone język jego wiążą!

Niedawno musiała w tańcu podać rękę, nieznośnemu, chudemu jak tyka Iphisowi, bo on nadszedł za późno. Wiecznie zaspany! Marzyciel niedołężny! Ale ona mu to powie, że dla niego stosowniej, wyciągnąć się na posłaniu, i marzyć o niebieskich migdałach, niż starać się o jakieś tam dziewczęta zagraniczne i z rozpustnikami hulać noc po nocy!

LYSANDER.

Gdy Xantha zbliżała się do domu ojca swojego, razem z nawoływaniem dotąd nieustającem Semestry, doleciały ją wesołe tony monaulusa *).

Kuglarz uprosił sobie wstęp wolny na podwórze, i pokazywał rozweselonym widzom sztuczki rozmaite, przyczem popisywały się kury i koguty doskonale wyuczone i wyćwiczone.

Był to człowieczek wzrostu karzełka, z nogami do środka obróconemi i wykrzywionemi.

Na krótkiej szyi, osadzoną była duża głowa, z czołem wypukłem i mocno na przód wystającem, które niby balkon u domu osłaniało oczka małe, bure i nader przenikliwie.

Artyści skrzydlaci, mieścili się w wózku na dwóch kołach, który ciągnął od wsi do wsi, od miasta do miasteczka, niewielki osiołek, jaskrawo i w dzwonki brzęczące przystrojony.

Właśnie stały dwa koguty i cztery kury na wierzchu pudła, a wyglądały nader wspaniale, gdyż ich naturalne pióra, były pomalowane przez mądrego właściciela, barwą czerwoną, niebieską, zieloną, a nawet gdzie niegdzie pozłocił je bogato. Kuglarz wiedział z doświadczenia, co się podoba najlepiej dzieciom i wieśniakom.

Obok wózka stał blady i chudy chłopczyna, wygrywający wesoło na monaulusie.

Lysander, ojciec Xanthy, kazał się wywieść przed dom w słońce, w dużem krześle na kółkach, pięknie wyrzeźbionem z gładkiego drzewa oliwkowego i z zadowoleniem przypatrywał się sztuczkom kuglarza.

Skoro spostrzegł córkę, skinął na nią, pogłaskał jej złote włosy, w czoło pocałował i rzekł:

— Zabawne przedstawienie! Te kury chodzą za małym człowieczkiem jak dzieci rozpieszczone. Cieszy mnię, że się tu pojawił, bo kto tak jak ja żadnych przyjemności po za swoim progiem używać nie może, wdzięczny każdemu, który ten próg przestąpi. Ale ty

---

*) Instrument podobny do dzisiejszego klarynetu.

już na miejscu, ustać nie możesz Dorippo. Skoro tylko flet da się słyszeć, nogi dziewcząt poruszają sie bezwiednie, niby liść na srebrnej topoli wiecznie drgający. Wybyście najchętniej od tańcu zaczęły!

Słysząc te słowa Mopsus w takt muzyki zbliżył się do swojej ukochanej. — Semestra atoli drogę im zastąpiła, a zwrócona pół ciałem do chłopca a drugą połową do swojego pana, prędko i krzykliwie zagadała:

— Teraz skakać nie wolno! „Kto rano tańczy, ten na wieczór nogi połamie.“

Lysander potwierdził słowa klucznicy niemem głową skinieniem i odrzekł:

— Idź więc do domu Chloris, i przynieś dla tego kur monarchy, dzban wina, bochenek chleba i dwa sery.

— Ile sera? — spytała stara.

— Dwa — powtórzył głośniej Lysander.

— Jednego aż nadto! — wpadła mu w słowo Semestra. — Żebyś mi więcej nie przynosiła Dorippo!

Chory uśmiechnął się wzruszył litościwie ramionami, ścisnął za rękę córkę obok stojącą i rzekł cicho, tak żeby klucznica nie dosłyszała:

— Nie jestem że ja sam do kur tego głowacza podobny? Semestra rozkazuje, a ja muszę przystać na wszystko. Już za Chloris podreptała, aby drugi ser uratować.

Xantha odpowiedziała ojcu również łagodnym uśmiechem.

— No przyjacielu! — zawołał głośno Lysander na kuglarza — pokaż nam, co twoi artyści potrafią! Wy zaś młodzi, Mopsusie i Dorippo, podnoście zresztą w takt nogi i obracajcie się wesoło, póki odzywa się monaulus, a starej gdery nie widać.

— Najprzód zobaczymy, co też kury potrafią — odpowiedziała żywo dziewka czarnooka, a uwiesiwszy się miłośnie na ramieniu Mopsusa wpatrzyła się w skrzydlatych komedjantów.

Teraz posypały się wykrzykniki podziwu i głośne śmiechy, bo gdy karzeł rozkazał największemu kogutowi, aby pokazał jak się na koniu jedzie, wskoczył na grzbiet osiołkowi; gdy go poprosił, aby mu konia wyczyścił, kogut dzióbem wyciągnął pióro czerwone z czuba misternie nad czołem osła powiewającego, i zaczął nibyto kurz piórem zmiatać nareszcie popisał się jako trębacz doskonały, gdy wyciągnąwszy długą szyję, zapiał przeraźliwie.

Jeszcze trudniejsze zadanie miały kury do spełnienia. Wyciągały one ze skrzyneczki drewnianej, dla każdego z widzów po listku z drzew różnych, na których pewne znaki widać było.

Tylko kuglarz rozumiał się na tej bazgraninie, w której miała się zawierać, wyrocznia niezawodna jego przyszłych losów, dla każdego z obecnych, i on też ofiarował się każdemu treść wyroczni ogłosić.

Nauczyciel rodu skrzydlatego, był człekiem mądrym i przebiegłym, słyszał, jak to mówią: „gdy trawa rośnie.“ Dobrze on zauważył, że z łaski Semestry, jeden ser mu ubędzie, skoro więc klucznica wróciła, rozkazał jednej z kur, aby każdemu z obecnych lata powiedziała. Mądry ptak skrobnął nóżką dla Xanthy razy siedmnaście, dla Mopsusa i dziewek, każdemu tyle, ile istotnie lat posiadali.

— A teraz porachuj lata tej szanownej matrony! — odezwał się kuglarz do kury.

Semestra kazała sobie Chloris powtórzyć, co też karzeł powiedział, i zaczynała się już namyślać, czy za ten tytuł „szanowna“ nie dać by mu sera drugiego, gdy kura skrobać zaczęła.

Do czterdziestu z uśmiechem kurze potakiwała, po tej liczbie zaczęła już czoło marszczyć, i pewien niepokój okazywać, gdy atoli kura w zapale nie ustawała, tylko skrobiąc coraz prędzej, groziła, że setki lat dosięgnie, a do tego zobaczyła że jej pan trzyma się za boki od śmiechu, i zauważyła że wszyscy obecni nie mogą się wstrzymać od objawów szalonej wesołości, porwała się z gniewem i do domu uciekła.

Skoro zamknęły się drzwi za starą, Lysander rzucił pół drachmy *) karzełkowi, w dłonie klaszcząc z wielkiej uciechy:

— No, dzieci! — zawołał śmiejąc się dotąd Lysander — teraz śmiało nogami wywijajcie. Pani Semestra nie tak prędko nam się pokaże. Dobrześ się spisał przyjacielu, ale teraz zbliż się i tłumacz nam znaczenie wyroczni, którą twoja kura przemądra, dla każdego wyciągnęła.

Kuglarz skłonił się głową tylko, gdyż grzbiet jego wypukły nie dał się nagiąć, podstąpił do Lysandra, i ujął w krótkie, jakby spuchnięte paluszki, listek na jego dłoni leżący. Lysander atoli rękę usunął na córkę wskazując:

— Najprzód jej wywróż, przed nią przyszłość długa, gdy tymczasem moja!...

— Twoja — wpadł mu w słowo kuglarz — twoja rozwinie się jeszcze najszczęśliwiej, gdyż kura dla ciebie listek wyciągnęła, zapowiadający życie długie, spokojne i szczęśliwe.

— Liść fiołkowy! — krzyknęła Xantha.

— Tak, liść fiołkowy! — kuglarz powtórzył. — Daj mi go w rękę. Tu stoją... patrz tylko sam... siedm kresek, a siedm, o tem wie każdy, siedm jest liczbą zdrowia i wszelkich pomyślności. Byt spokojny, długie życie w dobrem zdrowiu, oto dla ciebie panie przepowiednia.

— Należałoby mi się to od Bogów — westchnął Lysander — po tylu latach cierpienia! W każdym razie zgłoś się do mnie po roku, a jeżeli twoja Pythia gdakająca prawdę odgadła, i ja będę mógł bez szczudeł, o własnej sile wyjść do ciebie, to ci daruję nowe, całe ubranie; a może byś nawet spróbował szczęścia w pół roku, bo twój chiton, zdaje się być słabszym odemnie, i kto wie czyby do roku doczekał?

— On się za miesiąc rozleci! — kuglarz zapewnił z chytrym uśmiechem. — Każ mi panie już dziś odmierzyć materji na ubranie, abym mógł wrócić za miesiąc przy-

---

*) Staro-grecka srebrna moneta, setna część talentu.

zwoicie odziany i święcił wraz z innymi dzień radośny twojego ozdrowienia, zabawiając wesoło twoich gości. Taki olbrzym jak ja, nie uszczupli o wiele twoich zapasów.

— Trzeba poszukać, może się co i znajdzie dla ciebie — roześmiał się Lysander — a jeżeli za dni trzydzieści, mimo twoich sukień pięknych i nowych, nie wyrzucę cię za drzwi jako fałszywego proroka, to i twój pomocnik dostanie wtedy sztukę płótna, aby miał czem okryć swoje chude członki. A teraz wróż przyszłość mojej córce.

Mały człeczyna wyjął z ręki Xanthy listek i tak zaczął:

— Pochodzi z drzewa oliwnego, jest długości niezwykłej, ma zaś jedną stronę jasną, a drugą ciemną. Dożyjesz wieku nader podeszłego, życie zaś twoje ułoży się więcej, lub mniej pomyślnie, podług tego jak ty sama losem twoim pokierujesz.

— Jak ty sama pokierujesz! — powtórzyła drwiąco młoda dziewczyna. — To prawdziwie przepowiednia godna kury mądrości! „Jak sobie pościelisz tak się wyspisz!“ powtarzała mi również niegdyś co trzecie słowo moja mamka.

To mówiąc rzuciła listek ze złością na ziemię i nadąsana obróciła się plecyma do kuglarza.

Kuglarz podjął listek nie bez trudu i mozołu, mierząc dziewczę wzrokiem ostrym i przenikającym. Spojrzał następnie na jej ojca z szczerą życzliwością, przywołał ją nazad, a wskazując palcami na stronę listku odwrotną:

— Popatrz tylko — rzekł przyjaźnie — na te linje, z małem zagjęciem na końcu, To ślimak z różkami. Powolne to stworzenie! Przestrzega cię, aby się nigdy w życiu nadto nie spieszyć. Jeżeli cię coś pędzi, wstrzymaj się w biegu i spytaj sama siebie, dokąd cię też ta droga zaprowadzi?

— I jedź pomału przez całe życie, niby wóz ciężki, z góry zahamowany i piszczący po kamieniach — przerwała mu Xantha. — Od twojej dowcipnej kury, która panią Semestrę setką lat chciała obdarować, spodziewałam się usłyszeć co innego, niż takie rady przemądre!

— Spytaj ją o to, co ci na sercu cięży — odrzekł malec — o ona ci pewno nie zostanie dłużną odpowiedzi.

Dziewczę patrzyło z wahaniem na kuglarza, stłumiła jednak w sercu, chęć szczerą dowiedzenia się czegoś więcej o przyszłości, gdyż bała się żartów ojca. Wiedziała dobrze, iż skoro czuje się zdrowszym i wolnym od cierpień, Lysandrowi nic nie sprawia większej uciechy, niżeli droczenie się z córką, aż póki Xantha płakać nie zacznie.

Chory domyślał się, co się dzieje w duszy jego córki, rzekł więc zachęcająco:

— Daj tylko kurze jakie trudne zadanie! Zatkam sobie uszy, aby nie słyszeć, o co będziesz pytała wyrocznię. I tak mało co słyszeć można, przy dźwiękach przenikających monaulusa i okrzykach radości młodzieży rozhulanej. Tak na pewno, jak muchy placek z miodem, zwabiają dźwięki muzyki, młodzież tańcu wiecznie spragnioną. Na Cerbera! Już cztery pary obracają się wesoło! Tylko Phaona jakoś nie widać. Powiadają, że łoże w domu ojca, za twarde mu się wydaje i że szuka w Syrakuzie miększej pościeli. U nas dawno już dzień nowy zaczęty, a tam w mieście, może dotąd z wczoraj się nie uporali. Żal mi szczerze tego pięknego i dotąd poczciwego chłopczyska!

— Czy to prawda? -- zarumieniła się Xantha — że stryj szuka dla niego bogatej narzeczonej w Messenie?

— Zdaje się że tak będzie, ale od starania, jeszcze daleko do celu. Czy Phaon nic ci nie wspominał o ojca swojego zamiarach? Spytaj że się proszę kuglarza, bo inaczej nie wiem doprawdy, za co suknię dostanie. Uratujesz mnię od wyrzutu, iż jestem rozrzutnikiem.

— Tego nie zrobię, bo na co mi tej wiadomości! — wzruszyła Xantha ramionami, cała szkarłatem oblana i zawróciła ku domowi.

Ojciec zwrócił się niecierpliwie i zawołał za odchodzącą:

— Rób jak chcesz, tylko odmierz przynajmniej i utnij kawał sukna bronzowego na chiton dla kuglarza.

Dziewczę we drzwiach domu zniknęło.

Chłopiec grał jednotonnie na swoim instrumencie, wesołość jednak w młodzieży wzrastała, a nogi coraz wyżej skakały.

Jak gdyby burzą wzdęte, podnosiły się stroje, z wiatrem igrając, wiły się wstążki w powietrzu, a bicie dłońmi w takt muzyki i wykrzykniki hulaszcze końca nie miały.

Gdy Mopsus, lub inny z chłopaków podniósł głos ponad innych, a która z dziewcząt z serca się roześmiała, twarz biednego do stołka przykutego Lysandra, rozjaśniała się niby słońca oblaskiem, podnosił się trochę w górę, ,klaskał również z innymi, i kołysał się w krześle w takt muzyki.

— Doprawdy, serce twoje panie, tańcuje wraz z młodzieżą! — kuglarz zauważył.

— Ale mu nóg braknie! — odparł smutno Lysander, i zaczął opowiadać, jak spadł, jakie męki przecierpiał, jakich leków używał, i jak wreszcie, powoli, zdrowie zaczyna odzyskiwać. Rozwodził się szeroko i długo, gdyż ulgę mu to niejaką przynosiło, jeżeli znalazł cierpliwego słuchacza, który zdawał się współczuć jego niedolę, a uważniej od kuglarza — który czy to przez dobroć serca, czy też w nadziei sukna, które miał dostać, zdawał się tak zasłuchany, jakby na ustach mówiącego zawisnął i bał się jedno słowo utracić — pewno go nikt dotąd nie słuchał.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Z dzisiejszym numerem kończy się prenumerata kwartalna na *„Świat powieściowy.“* Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.